

PRZEBUDZENIE

Letnia noc wchodziła przez otwarte okno, przynosząc przyjemny chłód rozgrzanemu podczas upalnego dnia pokojowi. Firanka falowała łagodnie, niczym żagiel na niewielkim wietrze, a snop księżycowego światła, oświetlający połowę dywanu zakłócał chodzący po pokoju mężczyzna. Koszulka, w której noc zostawiła jego bezsenny niepokój, oklejała zmęczone jeszcze ciało, a drżące palce przeczesywały rzadkie, pomimo stosunkowo młodego wieku, włosy. Podeszedł do okna i ujrawszy odbijającą się w szybie paczkę papierosów leżącą na biurku, odwrócił się i sięgnął po nią nerwowo. Wyjął papierosa, wychylił się przez okno i zapalił. Spojrzał zmęczonymi oczami na łysy księżyc i gwałtownie wypuścił kłęb dymu zakrywając na krótką chwilę jego oblicze.

– Może to przez tę pełnię? – pomyślał na głos, chociaż nie miał w zwyczaju mówić do siebie, a fakt ten jeszcze bardziej go przygnębił. Stwierdził, że dobrze byłoby oziębic kark zimną wodą i kiedy odwrócił się gwałtownie, żeby udać się do łazienki, zrzucił łokciem lampkę stojącą na biurku. Uderzająca o drewnianą podłogę, lampka przerwała nocną ciszę. W jednej chwili do jego uszu dobiegły trzepot skrzydeł przestraszonego gdzieś na gałęzi ptaka i głos wyrwanej ze snu kobiety.

– Co ty wyrabiasz po nocy?!

Nie odpowiedział od razu, nie miał pojęcia, co ma powiedzieć. Sam nie wiedział, co mu się przydarzyło tej i poprzedniej nocy. Nie chciał okłamywać żony, ale jeszcze bardziej nie lubił się jej zwierzać.

– Nic, po prostu nie mogę spać.

– Połóż się i nie hałasuj, obudzisz dzieci.

– Pójdę do salonu i posłucham muzyki, ale nie bój się, założę słuchawki, nie obudzę chłopców – powiedział zmęczonym głosem.

Kobieta podparła się na łokciu i patrząc uważnie na oświetloną bladym światłem księżycą twarz męża, spytała:

– Czy ty się boisz zasnąć?

– Obejdę się bez diagnozy, pani psycholog – odparł idąc w kierunku drzwi do sypialni.

Wchodząc do salonu zdał sobie sprawę, że w palcach tli mu się jeszcze niedopalony papieros. Zgasił go czym prędzej. Nałożył słuchawki, wziął pilot od odtwarzacza i zapadł się w miękkim fotelu, czując jak plecy przyklejają się do chłodnego, skórzanego obicia. Długo nie mógł się zdecydować na muzykę. Siedział ze słuchawkami na głowie i myślał o śnie, który tak bardzo przeraził go swoją realnością. Próbował uciec myślami do czegoś miłego, ale nie był w stanie się skoncentrować. Przerazało go to, że żona miała rację. Bał się znowu zasnąć.

Pielęgniarka szybkim krokiem przemierzała szpitalny korytarz. Szuranie jej kłapek o umytą niedawno podłogę było jedynym dźwiękiem zakłócającym nocną ciszę. Kiedy podeszła do drzwi dyżurki przystanęła i energicznie zapukała. Czekwała na odpowiedź poprawiając stanik, kiedy ze środka dobiegł głos lekarza:

– Proszę wejść.

– Panie doktorze... – zaczęła mówić, kiedy lekarz przerwał jej zaspanym, rozmarzonym głosem:

– Mam nadzieję, że to coś pilnego, miałem sen...

– Przepraszam, ale pacjent z czwórki znów się przebudził – mówiła podekscytowana. – Prosił pan, doktorze, żeby go niezwłocznie informować.

Lekarz podniósł się szybko z niewielkiego łóżka stojącego pod ścianą. Wiadomość ta wygoniła resztki snu, a na twarzy dało się zauważyć nieukrywane podniecenie. Przetarł małe oczy, ledwie widoczne na pulchnej twarzy i przeczesał palcami rude kędziory bujnej brody. Zdejmując z wieszaka biały fartuch szybko udał się do wyjścia. Pielęgniarka niemal biegła, starając się za nim nadążyć.

– Jak dawno temu się obudził? – rzucił poprawiając okulary.

– Minęło może pięć minut.

– Mówił coś?

– Nie, nic. Patrzył tylko na mnie.

Kiedy weszli do sali, na szpitalnym, stojącym pod oknem łóżku, siedział zgarbiony człowiek, cienkie nogi zwisały nad podłogą. Przyglądał się swoim nienaturalnie bladym stopom, na których siatkę niebieskich żyłek pokrywała delikatna skóra, jakby odkrywając je na nowo. Szpitalna koszula wisiała na kościstych barkach niczym płachta na rogach byka. Cienkie ręce oparte o brzeg łóżka podtrzymywały chwiejną konstrukcję. Za sprawą rurek podłączonych do obu przedramion człowiek ów wyglądał raczej na lalkę, sterowaną przez niedoświadczonego lalkarza, niż na istotę ludzką. Z dwóch pozostałych łóżek dało się słyszeć miarowe oddechy, potwierdzające spokój panujący na sali.

– Dzień dobry – zagadnął lekarz najmiłszym z głosów, na jaki było go stać o tak nieludzkiej porze.

Pacjent podniósł pomału głowę. Widać było, że każdy ruch wykonuje z wielkim trudem. Na wychudłej twarzy malowało się zdziwienie połączone ze zmęczeniem. Popatrzył na lekarza, potem na pielęgniarkę, pomału odwrócił głowę w kierunku okna, gdzie na jasnej poświacie lampy rysowały się okienne kraty. Drżącą ręką pogładził się po przerzedzonych włosach i chrapliwym, ledwie słyszalnym głosem powiedział:

– Gdzie ja jestem?

– W szpitalu – odparł lekarz siadając obok.

– Czy coś mi się stało?

– Wszystko jest w porządku – odpowiedział lekarz, uśmiechając się.

– To dlaczego jestem w szpitalu?

– Proszę się położyć, jest pan bardzo słaby – odrzekł, układając pacjenta na poduszce.

– Ale co się stało? – Człowiek nie dawał za wygraną. – Nie mam siły – dodał słabo, a policzki potwierdzając jego słowa, drgnęły lekko.

– To dlatego, że bardzo długo, że tak powiem, spał pan.

– Jak długo? – zapytał zamykając oczy.

– Siostrzo, szybko... – usłyszał jeszcze i opadł bezwładnie na poduszkę.

– Kubuś, idź, obudź ojca, poszedł się zdrzemnąć na górę, a niedługo musimy wychodzić! Powiedz mu, żeby zaczął się wreszcie szykować! – zawołała kobieta wychylając się z łazienki.

– Ja gram na kompie mamó, niech Jaś idzie.

– Ciebie prosiłam, a Jaś się uczy, przecież wiesz, że jutro ma klasówkę.

Kuba szurnął gwałtownie krzesłem i pobiegł po schodach na górę. Po krótkiej chwili zbiegł znowu na dół. Podbiegł do drzwi łazienki i krzyknął do matki:

– Mamó! Ojciec siedzi w fotelu z otwartymi oczami i nic nie mówi!

– Co takiego? – powiedziała do siebie kobieta, odrzucając szcztokę do włosów. W pośpiechu wypadła z łazienki.

– Czy ojcu coś się stało?

– Nie, nic, pewnie się zagapił. Idź do swojego pokoju – mówiąc to szybko wchodziła po schodach na górę.

Podbiegła do męża. Ten faktycznie siedział w fotelu i niewidomym wzrokiem wpatrywał się w przeciwległą ścianę. Zaczęła uderzać go delikatnie po twarzy. Po kilku razach ocknął się z transu i głośno oddychając popatrzył przestraszonymi oczami na żonę.

– Co się dzieje? Lucek! – powiedziała równie przerażona.

– Nic, zamyśliłem się – odparł kłamiąc, ale jednocześnie zdał sobie sprawę, że musi jej wreszcie powiedzieć prawdę. Schował nagle twarz w spocone dłonie i zaczął szlochać. Usiadła mu na kolanach i przytuliła jego głowę do swojej piersi.

– Przecież widzę, że coś jest nie tak. Proszę cię, powiedz mi, co się dzieje – mówiła łagodnie, głaszcząc jego głowę.

– Dobrze – odrzekł wciąż szlochając. – Pamiętasz tę noc, gdy zrzuciłem lampkę z biurka?

– Pamiętam – odparła wycierając mokrą od łez twarz męża, który delikatnie odsunął żonę i wstał z fotela.

Lucjan podszedł do okna i opierając się o parapet spojrział w badawczo utkwione w nim oczy żony.

– Coś się ze mną dzieje niedobrego, Mirka – rzekł i spuszcza-
jąc wzrok na podłogę mówił dalej podenerwowanym głosem, po
każdym zdaniu robiąc krótką przerwę. – Zaczęło się jakiś tydzień
temu. Którejś nocy śniło mi się, że się obudziłem gdzieś, w jakimś
szpitalu, w białej sali. Byłem tak zmęczony, że nie mogłem wstać.
Tak obolały i słaby, że z ledwością mogłem usiąść. Ta moja niemoc
była tak bardzo namacalna, tak realna, jak gdyby nie był to sen.
Potem, tej nocy, kiedy straciłem lampkę, znowu miałem ten sam
sen. Ta sama sala. Pielęgniarka przyszła i coś do mnie mówiła, nie
rozumiałem jej. Ledwo mogłem wstać z łóżka. Przyszedł lekarz.
Mówił do mnie, pytał jak się czuję. Zacząłem się bać, bo chcia-
łem się obudzić, ale nie mogłem. Z tamtej strony wyglądało to tak,
że muszę szybko zasnąć, aby wrócić tutaj. Spróbowałem z całych
sił i nagle się udało – obudziłem się w naszej sypialni, ale z prze-
świadczeniem jakbym to tutaj był we śnie, a realny świat został tam,
w tym szpitalu. Rozumiesz mnie? Miałś wtedy rację, że bałem się
zasnąć. Przez ostatnich kilka nocy prawie nie spałem, ale kilka razy
w pracy siedząc nad deską kreślarską słyszałem jakiś męski głos
mówiący do mnie. Ten głos... Coś było w nim... Coś znajomego.
Tak, jakbym słuchał go często, jakby był moim wewnętrznym głó-
sem, jak gdybym to ja sam mówił do siebie, zmienionym, postarza-
łym głosem. Nie mogłem zrozumieć sensu zdań, rozróżniałem tylko
poszczególne wyrazy. Przerazała mnie realność dochodzących do
mnie słów, jak gdyby ich właściciel stał nade mną i wypowiadał je
wprost do moich uszu. No i dzisiaj, po obiedzie nagle poczułem,
jakbym tracił kontrolę nad swoim mózgiem, poczułem, że zaraz ze-
mdleję. Powiedziałem ci, że idę się zdrzemnąć. Ledwo wszedłem
na górę. Usiadłem w fotelu, chyba straciłem przytomność i znowu
ocknąłem się w szpitalu. To było tak realne. Leżałem w łóżku, w pa-
siastej pidżamie. Wszystko mnie bolało. Nie miałem na nic siły.
Próbowałem wstać. Zobaczyła mnie pielęgniarka i wybiegła szybko
z sali. Przybiegł lekarz, ten sam co wtedy, w nocy. Pytał, jak się czu-
ję. Mówił coś, że wreszcie wracam do żywych, że kuracja zaczyna
działać. Próbowałem się obudzić, ale nie mogłem. To było takie
realne. Poczulem wtedy, jak bijesz mnie po twarzy. To było zbyt

realne, Mirka, tak jakby to nie był sen, a jakieś drugie życie, sam nie wiem – przerwał na chwilę, szlochając. – A najgorsze było moje ciało, moje dłonie, tak delikatne, moje stopy, jakbym nie używał ich przez bardzo, bardzo długi czas. I potworny smutek ogarniający mój umysł – dodał ledwo słyszalnym szeptem. – Co się ze mną dzieje, powiedz mi?

– To przemęczenie, kochanie. To nic takiego – mówiła łagodnym głosem podchodząc do męża. Przytuliła się do niego i całując mokre od łez policzki dodała: – Musisz się po prostu wreszcie porządnie wyspać, a wszystko minie.

– To nie takie proste – odparł.

– Na pewno przestraszyłeś się tego pierwszego snu, drugi pogłębił ten stan, a kilka nieprzespanych nocy zrobiło swoje. Niewypoczęty mózg może płatać różne figle. Potrzebujesz długiego snu, mój kochany.

– Tego się właśnie obawiam najbardziej – odparł, już nieco bardziej pewnym siebie głosem.

Obudził go czyjś głos, który docierał do niego coraz wyraźniej. Nie rozróżniał jeszcze poszczególnych słów, kiedy zdał sobie sprawę, że głos, który słyszy jest mu dziwnie znajomy. Był to ten sam, który nękał go w pracy. Potarł spocone nogi jedną o drugą i poczuł kościste kolana. Uczucie to otrzeźwiło go. Nie chciał otwierać oczu, bojąc się tego, co spodziewał się ujrzeć. Przyszło mu bowiem do głowy, że oto wybudzał się z jakiejś długiej śpiączki, w którą kiedyś tam zapadł. Wrażenie realności, jakie odczuwał, było bowiem bardzo silne, nijak mające się do wrażeń towarzyszących człowiekowi podczas marzeń sennych. Zapewniał się jednak, że to właśnie w tej chwili znajduje się we śnie, z którego jest w stanie w każdej chwili się obudzić. Spróbował przypomnieć sobie ostatnią rzecz, jakiej doświadczył przed pójściem spać, ale nie mógł się skupić. Nie potrafił wyodrębnić ostatniego wieczoru, jego myśli o rzeczywistości składały się z kilku dni zlepionych ze sobą i tworzących, tak mu teraz się wydało, jeden długi sen. Przed zamkniętymi oczami przesuwały się obrazy codziennego życia. Wszystkie naraz prze-

latywały niczym stado czarnych ptaków. Dom, poranne golenie, praca, hałasujący gdzieś w pokoju obok chłopcy, żona krzątająca się po kuchni, strzępy rozmów, fragmenty wznioślejszych przeżyć. Próbował wyłowić z nich cokolwiek, co pomogłoby mu w obecnej chwili, ale bezskutecznie. Wszystkie te myśli spadały bezpowrotnie niczym kamienie toczące się z górskiej ścieżki, gdzieś daleko w dół. A on stał okrakiem nad nią i przyglądał się bezsilnie, jak suną gdzieś w pustkę, z której już ich nie zdoła wydobyć. Umysłowa niemoc, jakiej doznawał, stawała się coraz bardziej nie do zniesienia. Wszystkie szczegóły odpłynęły, jedyna myśl jaka została, to dom rodzinny – odległa, bezpieczna przystań, do której miał nadzieję w niedługim czasie wrócić. Jakże różniła się ona od szpitalnego pokoju, w którym się znajdował! Z drugiej jednak strony zastana rzeczywistość budziła lekkie zainteresowanie. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że musi ją wyjaśnić, inaczej już nigdy nie zaśnie spokojnie i zawsze będzie tutaj wracał. Próbował spokojnie, logicznie pomyśleć, a to wiązało się z całkowitym opanowaniem, które nie przychodziło mu łatwo. Leżał bez ruchu z zamkniętymi oczami, ale zmysł powonienia i słuchu niezbitcie informował go, że znalazł się w znajomym już szpitalnym pokoju. Niemoc fizyczna, jakiej doznawał, jak i delikatność skóry dłoni i stóp, którymi teraz delikatnie muskał jedną o drugą wskazywała na to, że leżał tak długi czas, najprawdopodobniej śpiąc. Wszystko do siebie pasowało, układało się w jakąś nierzeczywistą całość, która była dla niego nie do przyjęcia. Nękające go wrażenie realności ponownie wzbudziło w nim uczucie panicznego strachu. Serce zaczęło łomotać, o zaśnięciu nie było mowy. Próbował przypomnieć sobie twarze swoich synów. Zaczęły rysować się niewyraźnie, nie mogąc przebić się przez tabuny nadbiegających myśli, tworzących tło dla dwóch uśmiechniętych twarzączek.

Ocknął się nagle. To głos, który do niego nieprzerwanie dobiegał, urwał się. Zapadła krótka cisza. Pomału zaczął otwierać oczy, lecz zatrzymał ten ruch, nie chcąc zdradzić, że się obudził. Przez szparkę, jaką zrobił w lewym oku wylaniał się drgający obraz przesłonięty rzesami. Na łóżku pod ścianą siedział człowiek. Oparty o ścianę, z podkulonymi nogami, dłubał palcem w nosie.

Siwe, posklejane włosy opadały na pasiastą koszulę rozpiętą na piersi, po której drapał się tak energicznie, że aż jęczał z bólu. Jego chuda twarz z dziobatym nosem i silnie rysującymi się kośćmi, rozbiegane oczy, jak i cała przykurczona postawa, upodobniały go do przepłoszonego ptaka, który siedząc na gałęzi wypatruje nadchodzącego niebezpieczeństwa.

– Hej, Adelajdo! – zawołał patrząc na prawą rękę drapiącą bez ustanku klatkę piersiową. – Czyż nie przesadzasz w swojej gwałtowności? Toż to zwykłe swędzenie, a ty chcesz wydrapać wszystkie siwe włosy! Przestań już! Tamte czasy nie wrócą, pozbycie się ich nie przywróci nam młodości, nie tędy droga! – zaśmiał się, wesoło rechocząc. Wyjął palec lewej ręki z nosa i powolnym ruchem odciągnął prawą dłoń, która jeszcze w powietrzu wykonywała gwałtowne ruchy drapania. Głaszcząc niepokorną dłoń, która teraz nerwowo pukała palcami w kolano, zaczął mówić znowu:

– No, bo czyż to nie dziwne, Adelajdo, no powiedz sama, żeby mieć takie sny? Śni mi się niebywale gładka skóra, która potem przemienia się w nieprzyjemnie chłodną, metalową powierzchnię, miękką w dotyku. I pomyśleć, że ten zimny, płynny metal, tworzący strukturę żywych mięśni, tak bardzo przeraził młodego chłopca, którym wtedy byliśmy. Tak, tak, ten sen już kiedyś mieliśmy i pamiętaliśmy go przez te wszystkie lata. I jeszcze ten o tym, jak coś małego, jakaś drobinka, rośnie i rośnie, aż wypełnia wszystko wokół, jest tak ogromna, tak wielka, że staje się całym uniwersum, a potem ze wszechświata zmienia się znowu w takie małe nic, czym była na początku, tak jakby granica pomiędzy wszechświatem, a małym pyłkiem była oczywistą koleją rzeczy. Jakby naturalnym końcem nieskończoności było zero, a zero dążyłoby w swojej nicości do nieskończoności. To nazbyt łagodne przejście pomiędzy nieskończonością a zerem było tak przerażające, a jednak nad wyraz łatwo przyswajalne i wytłumaczalne. Ale o tym cicho, cichusieńko, żeby ten zarozumiały eskulap nie usłyszał. Znowu usiądzie i będzie zapisywał, a potem zacznie te swoje farmazony. Prymitywny rzemieślnik, uważający się za bardziej normalnego od nas.

Mężczyzna pomału otwierając oczy słuchał, jak człowiek ów przemawia do swojej dłoni. Teraz dopiero do niego dotarło, że z jego lewej strony ktoś miarowo oddycha. Przekręcił głowę i zobaczył, że obok stoi jeszcze jedno łóżko, na którym leży kolejny, przeraźliwie blady, nieogolony człowiek, o bardzo jasnych, krótko przystrzyżonych włosach. Spod jego zamkniętych powiek wąskimi strużkami ciekły łzy i pomimo tego, że siedzący zaczął bardzo energicznie drapać się po głowie, jęcząc przy tym i wołając głośno do swojej niesfornej dłoni, leżący nie reagował. Do świadomości mężczyzny dochodziło pomału, że szpital, w którym się znajduje może być psychiatrycznym, że leży na sali z dwoma pacjentami, a on jest trzecim... pacjentem.

Myśl ta przeraziła go. Natychmiast jednak próbował pocieszyć się tym, że to jednak tylko sen. Sen, który miał nadzieję, niedługo się skończy. Zamknął znowu oczy z nadzieją zaśnięcia, a raczej obudzenia się w sypialni obok żony. Siedzący jednak nie dawał mu zasnąć, tłumacząc coś swojej dłoni, którą nazywał Adelajdą.

Uchylił powieki i spojrzał na niego. Ten w tym samym czasie odwrócił się i ich spojrzenia zderzyły się. Mężczyzna chciał czym prędzej zamknąć oczy, ale zdał sobie sprawę z tego, że jest już za późno, utkwił spojrzenie w siedzącym, ten zamrugał. Adelajda w tym czasie pomachała radośnie, a człowiek powiedział:

– Witamy szanownego kolegę! Pozwoli pan, że będziemy się zwracać do niego w ten właśnie sposób? Długo czekaliśmy na ten moment i doprawdy jesteśmy zadowoleni. Nieprawdaż, Adelajdo?

Ręka znowu pomachała na dzień dobry i zaczęła wystukiwać na ramie łóżka jakąś melodię. Mężczyzna dźwignął się lekko na łokciach, nie zwracając uwagi na wkute w nadgarstki igły. Odezwał się zachrypniętym głosem:

– Czy to szpital psychiatryczny?

Siedzący zaśmiał się, ale już po chwili spochmurniał i odrzekł:

– Skoro tak to wygląda dla szanownego kolegi, niech tak będzie. Chociaż dla nas sprawa ta wygląda diametralnie różnie.

– To śni mi się tylko, prawda?

– Och, to bardzo interesujące, a więc my jesteśmy tylko sennym przywidzeniem? Myśli szanowny kolega, że gdy się obudzi, to my znikniemy? Z naszego punktu widzenia jest to nie do przyjęcia, a co za tym idzie, zgoła odwrotnie. Wynika to zapewne z naszego egoizmu. Gdy my opuścimy ten pokój, to niestety, ale szanowny kolega przestanie istnieć. No, ale to tylko kwestia punktu widzenia, aj!... – zawołał mówca, gdyż ręka pacnęła go prosto w nos, po czym szybko dodał: – Oj, przepraszam za niechcianą egzaltację, szanowny kolega będzie łaskaw wybaczyć.

– Ja tylko chciałem się obudzić – powiedział mężczyzna ścisłym głosem, bardziej do siebie.

– Tak, to rozumiałe, niestety ta rzeczywistość jest mało interesująca z punktu widzenia szanownego kolegi, a przy przebudzeniu może nawet przerazić. Rozumiemy to doskonale.

Mężczyzna słuchał siedzącego, ale był świadomy, iż człowiek ten nie jest całkowicie normalny i od niego nie dowie się zbyt wiele. Nagle zdał sobie sprawę, że oprócz zorientowania się w przestrzeni warto byłoby także zorientować się w czasie, spróbował zatem zapytać raz jeszcze:

– Gdzie ja jestem i który jest teraz rok?

– A... – chciał zacząć, ale dostał kuksańca, tym razem w ucho, i odparł tylko: – Za szanownym kolegą na ścianie jest kalendarz, my nie mierzymy czasu, jest to zajęcie zupełnie zbędne, które do niczego nie służy.

Mężczyzna z trudem odwrócił głowę, tuż nad nim faktycznie wisiał kalendarz. Pod fotografią leśnego strumyka widniały rzędy cyfr, a nad nimi napis: SIERPIEŃ. Nie zważając na ból w szyi szukał dalej i wreszcie w prawym, górnym rogu, nad zielonymi świerkami, dojrzał interesujące go cyfry: 2006. Czynność ta tak go zmęczyła, że opadł bez sił na poduszkę. Usilnie starał się przypomnieć sobie, jaki jest rok w jego faktycznym życiu. Przywoływał w myślach wszystko to, co mogłoby mu w tym pomóc. Obrazy skakały w jego głowie. Z gmatwaniny myśli nie udawało się wydobyć nic konkretnego. Usilnie przeszkadzał mu w tym siedzący, który tłumaczył Adelajdzie, że oto teraz stan jego umysłu

ulegnie znacznej poprawie, że walka, którą przegrał ze swoim mózgiem właśnie zaczyna się na nowo i tym razem będzie wygraną, a wszystko to dzięki szanownemu koledze, który to obudziwszy się, daje im nową nadzieję. Mężczyzna słyszał tylko, jak siedzący recytuje wiersz, wpatrując się w swoją dłoń:

*Przebyłeś długą drogę
Od mojego lewego ucha
Poprzez splot słoneczny
Mleczną drogę
Aż do ucha prawego
Słuchałem twoich kroków
Nie raz twego lotu*

*Chowałeś się
Czasami pod Małym
A czasami pod Dużym Wozem
Pod tym samym
Pod którym Syzyf kamień toczył
To ty podsunąłeś Neronowi
Ogień Prometeuszowy do spalania Rzymu
To ty podarowałeś pierścień Saturnowi
Odebrany siłą Jowiszowi
To ty nic przerwałeś Ariadny
I schowałeś do puszek Pandory
To ty piłeś wodę przemienioną w wino
I strzelałeś do carskiej rodziny*

*Zalał cię jedno spojrzenie
W pęknięte lustro kryształowe
Przez oko moje
Z wnętrza głowy
Ujrzałeś pierwszy raz
Odbicie swoje*

Mężczyzna zamknął oczy, próbował się uspokoić. Zaczął wyrównywać oddech i powoli przywoływać obrazy, zostawione gdzieś po tamtej stronie. Zrazu nie wychodziło mu to, ale z czasem z ukazujących się migawek zaczęły rysować się twarze najbliższych mu osób – żony i dzieci. Jakieś morze, ktoś do niego macha, jego dwóch synów. Wychodzą ze szmaragdowej wody i biegną w jego stronę, obok na kocu leży żona. Gdzie był? Rozgląda się dookoła. Plaża, skały wchodzące do morza. To Grecja. Biuro podróży, terminy wycieczek, lipiec, lipiec 2006. Był pewien, że tego roku byli w Grecji i że są to ostatnie wakacje, jakie pamięta. Znowu dopadła go myśl, że ten urlop to sen, który leżąc w tym łóżku wyśnił. Szybko ją odpędził. Starał się myśleć pozytywnie i realnie, gdyż w autentyczności tamtego życia musiał teraz wierzyć. Jeszcze raz, z całych sił próbował wrócić do rzeczywistości i zakotwiczyć w niej. Musiał na tym bazować, tamto to życie, a to tutaj – to tylko sen. Lipiec, wakacje, teraz musi być też sierpień jak tutaj, myślał. Jaś ma teraz dziesięć lat, a urodził się w 1996, teraz musi być 2006, ostatnio było gorąco, czyli sierpień. Umacniał się w tym przekonaniu i teraz już był pewny. W rzeczywistym życiu też jest sierpień 2006 roku, tak jak w tym bardzo realnym śnie.

– Skoro tak, to nie mogłem przespać tutaj długich lat, jak się obawiałem, a więc na pewno śni mi się to tylko – myślał z zadowoleniem.

Przeraźliwa myśl, której nie dopuszczał do głosu, że oto doznał na przykład wylewu i leżał tutaj kilka lat, a tymczasem jego rodzina żyje gdzieś poza murami szpitala, odeszła. Tak, teraz był już pewny swego. Pozostaje tylko jedno – zasnąć i nigdy tutaj nie wrócić. Niech ten koszmar wreszcie się skończy, powtarzał sobie w duchu, leżąc spokojnie i upajając się widokiem kąpiących się synów. Nagle poczuł delikatne parcie na pęcherz, uczucie to zaburzyło dotychczasowe myśli. Próbował zostać nad morzem, ale napor nasilał się, znowu usłyszał głos mówcy i teraz już całym jestestwem wrócił na łóżko. Wsunął rękę pod kołdrę, przesunął dłonią po chudej miednicy, co wprowadziło go w zakłopotanie, przecież jest dobrze zbudowanym, młodym człowiekiem – pomyślał i natrafił

dłonią na cewnik. Jak mgnienie nasunęło się kilka wniosków. Czy we śnie można tak wyraźnie czuć parcie na pęcherz, niedogodność założonego cewnika? Czy na pewno jestem we śnie?

Rozważania te zostały przerwane przez zbliżające się do pokoju kroki i głośną rozmowę. Mężczyzna znieruchomiał i zapomniawszy o dokuczającym pęcherzu zaczął nasłuchiwać. Szuranie było coraz głośniejsze, a w miarę jak się zbliżało, w umyśle mężczyzny rysował się dziwny krajobraz. Złote łany zboża zmieniające się w ścianę ciemnego lasu. Słońce, które oświetlało tylko kłosa, malowało je na żywy, jasny kolor złota, silnie kontrastujący z zielenią lasu. Rażąca jasność falujących łanów podkreślała ciemną ścianę lasu, a wszystko przekręcone na bok, widziane tak, jakby obserwator leżał na ziemi, na lewym boku, potęgowało osobliwe odczucie dziwności.

Do pokoju weszło trzech lekarzy. Jednym z nich był psychiatra, który wcześniej przybiegał do przebudzającego się mężczyzny. On właśnie zaczął przedstawiać pacjentów swoim dwóm kolegom:

– To nasz stary kuracjusz – wskazał na mówcę. – Pan Feliks Idzik – i zwracając się w stronę lekarzy, dodał szeptem – schizofrenia paranoidalna, niezwykle gadatliwy przypadek. – Dalej kontynuował już normalnym głosem. – Co ma znaczący wpływ na pomyślność leczenia tych oto dwóch Panów w stanie głębokiej śpiączki.

Podeszli do człowieka, który cały czas nieruchomo leżał na łóżku, nie przebudziwszy się jak dotąd.

– Pan Roman Giętka, śpiączka wywołana encefalopatią wątrobową. W skali Glasgow na podstawie schematu Teasdale i Jennetta: pięć punktów. Otwieranie oczu – brak, kontakt słowny – jedynie pojękiwania, reakcja ruchowa – wyprostna na ból. A tutaj mamy nasz niewątpliwy sukces spowodowany moją nowatorską metodą – mówił dalej prowadząc lekarzy do następnego łóżka. – Pan Lucjan Lang. Przebudził się już kilkakrotnie, a jeszcze kilka dni temu dawałem mu tylko trzy punkty w skali Glasgow.

– Jaka była przyczyna śpiączki? – zapytał jeden z lekarzy.

– Bardzo głębokie zaburzenie psychiczne, wywołane silnym przeżyciem.

– Jakim? – zapytał zaciekawiony trzeci lekarz.

Psychiatra podszedł do Lucjana i przekonany, że ten śpi, powiedział nieco ściszym głosem:

– Wypadek samochodowy, w którym zginęła żona pacjenta i jego dwóch synów. Kiedy karetka przyjechała na miejsce wypadku zmasakrowane zwłoki kobiety i chłopców były ułożone obok siebie na ziemi, a tuż przy nich leżał Pan Lucjan, w pozycji embrionalnej, jakby się układał do snu, z podkulonymi nogami i podłożoną pod głowę lewą ręką. Wpatrywał się w nich, niewidzącymi już wtedy, oczami. Najprawdopodobniej wyjął nieżywych bliskich z rozbitego samochodu, ułożył na ziemi i zapadł w śpiączkę. Przeżycie było zbyt silne dla jego mózgu. Rozum nie potrafił okiełznać takiej ekspresji emocji.

Lucjan słuchał tych słów tak, jak gdyby dotyczyły kogoś innego. Ale z każdą chwilą, z każdym wypowiedzianym przez lekarza słowem narastał jakiś dźwięk, dźwięk, który pomału zmieniał się w potworny, rozdzierający huk, opanowujący całą głowę. Łany jasnego zboża falowały na tle ciemnej ściany lasu. Jego wzrok, przebijający się poprzez niewyobrażalny huk, schodził coraz to niżej z błękitu nieba poprzez zieloność drzew, złotych kłosów żyta, aż do ziemi, gdzie leżały ułożone jeden obok drugiego, zakrwawione ciała. I kiedy zdał sobie sprawę z tego, kogo widzą jego oczy, łomot urwał się i zapadła przerażająca, po stokroć gorsza od chaosu, cisza wypełniona makabrycznym widokiem.

Pomału w tę ciszę zaczął wdzierać się czyjś rozpaczliwy krzyk. Krzyk ten był coraz głośniejszy, a kiedy sięgnął już apogeum, zdał sobie sprawę, że wydobywa się z jego krtani. Przestał widzieć, był tylko chaos wypełniony krzykiem i ciemnością.

I nagle snop światła próbował przedrzeć się przez szczeliny w oczach. Pomału otworzył je i wciąż krzycząc zobaczył tuż przed sobą żonę trzymającą nocną lampkę wymierzoną prosto w jego twarz.

KARLSON-CITY

Była zima, któregoś tam z kolei roku. Krajobraz impresjonistycznego widoku zamglonych, zimowych pól urozmaicały rosnące gdzieś tam suche, powyginane drzewa. Osoba moja dziwnie dopełniała kompozycji obrazu, urzeczywistniając go w sposób zgoła naturalny. Zdawać by się mogło, że beze mnie widok ten byłby tylko martwym płótnem.

Zarówno droga, jak i okolica, zapomniane przez ludzi, a i wydawać by się mogło, że przez zwierzęta, brak wiatru oraz jakiegokolwiek dźwięku, potęgowały uczucie nienaturalności. Poprzednią noc spędziłem w namiocie, który nosiłem cały czas w plecaku razem ze swoim całym dobytkiem i już miałem szukać dogodnego miejsca na kolejny nocleg, kiedy w księżycowej poświacie ujrzałem wyłaniający się zza wzniesienia drogowskaz. ABSURD-CITY – widniało napisane białymi literami na zielonym tle, a pod spodem czarnym flamastrem ktoś dopisał: GÓWNO PRAWDA. Byłem w środkowej Europie, a tu nazwa miasteczka niczym z amerykańskiego westernu. Rzecz dziwna, ale gdy tylko przekroczyłem granicę wyznaczoną przez drogowskaz, zrobiło się cieplej i nie mówię tutaj o ciepłe na duszy, ale o temperaturze na dworze. Stałem zmieszany i chcąc się upewnić wróciłem przed drogowskaz. Zimno. Poszedłem na drugą stronę, ciepło. Stałem okrakiem na samej granicy wyznaczonej przez znak wyciągając ręce na boki. Lewa strona ciepła, jakbym stał przy piecyku, a w prawe ucho czułem szczypanie mrozu. Prawdziwy absurd – pomyślałem. Nie zastanawiając się nad tym dłużej ruszyłem przed siebie. Gdy dochodziłem do pierwszych zabudowań temperatura wzrosła jeszcze o kilka stopni i musiałem zdjąć czapkę, rękawice i rozpiąć kurtkę, którą wchodząc między zwarte zabudowania zdjąłem już zupełnie. Wraz ze wzrostem temperatury zwiększało

się zamglenie, a także uczucie ogarniającego mnie surrealizmu, który tutaj wydał się wręcz namacalny. Szedłem dobre piętnaście minut nie spotkawszy żywego ducha, mało tego, w żadnym oknie nie paliło się światło, chociaż dochodziła już siedemnasta i od dobrej godziny świat opuściło czerwone pod koniec tamtego dnia słońce. Czyżbym trafił na zupełnie wyludnione miasteczko? Przy najmniej spać będę miał gdzie – pomyślałem.

Doszedłem do przystanku autobusowego. Był to betonowy słup z naklejoną kartką z napisem: „miejskiej przystanek komunikacji”, co wydało mi się trochę dziwne. Rozejrzałem się wokół, miasteczko wyglądało podejrzanie pusto, a mgła je spowijająca potęgowała to uczucie. Tęskniłem już do ludzi, przecież od dwóch dni nie widziałem żywej duszy. Zdjąłem plecak i oparłem go o słup. Wtedy z pobliskiego domu doszedł mnie szcęk otwieranych drzwi, zza których wyłonił się człowiek. Mężczyzna ów nie dość, że bardzo niskiego wzrostu, to jeszcze silnie zgarbiony, szedł pomalą w moją stronę.

– Dzień dobry – rzuciłem serdeczne, szybkie powitanie.

– Twoja egzaltacja w ogóle mnie nie podnieca.

Odpowiedział tak szybko, że ledwo go zrozumiałem, podszedł do słupa, wyjął zza pazuchy kartkę papieru i przykleił ją taśmą, na wysokości moich kolan, po czym zakręcił się na pięcie i odszedł, tym razem już szybkim krokiem. Zatrzasnął drzwi, a uszu moich dobiegł jeszcze dźwięk zamykanych w pośpiechu zamków. Znowu nastała cisza, a mgła przybrała na sile, potęgując tajemniczość tego i tak już wystarczająco intrygującego miejsca. Przeczytałem koślawe litery na upapranej kartce: „zaraz przyjedzie”. Nie zdążyłem pomyśleć, co autor miał na myśli, kiedy usłyszałem odgłos nadjeżdżającego autobusu. Jechał bardzo szybko, przebijając się przez zamgloną ulicę. Z piskiem opon zatrzymał się tuż przed słupem. Drzwi otworzyły się, a ze środka zaczął ulatywać siwy dym. Usłyszałem chrapliwy głos kierowcy:

– Wsiada czy mam jechać?

– Wsiada – odparłem.

– No to pędzikiem, kochaniutki, bo dym ucieka.

Szybko wskoczyłem, w ostatniej chwili porywając plecak, nie dość szybko jednak, bo zamykane drzwi przytrzasnęły mi nogę. Próbowałem ją wyszarpnąć, kiedy kierowca wrzasnął do trzech pasażerów siedzących z tyłu:

– Taniec powitalny!

Na te słowa cała trójka wstała i trzymając w zębach dymiące papierosy zatańczyła krótki, ale bardzo ekspresyjny taniec, po czym raptownie usiadła, a ja wyszarpnąłem nogę i zapytałem kierowcy:

– Ile kosztuje bilet?

– Dopiero wsiadł i już chce płacić, ha, ha, ha – zaśmiał się kierowca i szybko dodał, cały czas paląc papierosa – Fajki ma? Jak ma, to niech siada i pali, bo i tak już sporo dymu uciekło. Jak nie ma, to na siedzeniu znajdzie.

– Dokąd zawieźć? – mówił prędko, wyrzucając z siebie słowa.

– Może do centrum? – odparłem zastanawiając się, czy aby nie trafiłem do jakiegoś swoistego miasta wariatów.

Usiadłem tuż obok kierowcy, wyjąłem papierosa z pudełka leżącego na siedzeniu obok i zapaliłem. Dopiero wtedy ruszył z piśkiem opon.

– Dobry wybór, bardzo trafny, tak kochaniutki, bardzo dobry, jak się już jest w Karlson-city trzeba zobaczyć centrum, no nie? Bo ty, kochaniutki, przyjezdny, nieprawdaż? – mówiąc to spojrział na mnie marszcząc brwi.

– Raczej przychodny – odparłem i dodałem – A to nie jest Absurd-city? Na drogowskazie było... – nie skończyłem jednak, bo kierowca wrzasnął:

– Absurd-city, gówno prawda! Karlson-city od imienia przesławnego Karlsona, biedaczysko, zamienili go w gęś! – zapłakał kierowca i przycisnąwszy do dechy pedał gazu mknął przedzierając się zamgloną ulicą, gdzieniegdzie oświetloną przydrożnymi ogniskami palonymi w koszach, z których strasznie się dymiło.

– To mgła, czy dym? – zapytałem.

– I to, i to, bo my, mieszkańcy Karlson-city – powiedział dobitnie podkreślając nazwę – wręcz uwielbiamy mocne zadymienie.

No bo jak niby żyć bez niego, przecież można by się przewrócić po pijaku bez dymu, kochaneczku. Nieprawdaż? Pal, pal, dym to samo zdrowie. Oj tak, samusieńkie.

Kierowca trajkotał jak nakręcony, strzelając słowami niczym pociskami z karabinu maszynowego. Przestałem go słuchać i przyglądałem się zza okna autobusu miasteczku, a raczej temu, co przez mgłę mogłem zobaczyć. Tu i ówdzie na budynkach, krawężnikach chodników, śmietnikach, ławkach zapalone były pojedyncze lampki przypominające duże znicze. W miarę, jak zbliżaliśmy się do centrum, mgła gęstniała, a ilość dymiących lampek wzrastała. Gdyby nie one, nie wiedzielibyśmy, gdzie jechać. Wyznaczały krawędzie jezdni, dachów i w ogóle wszystkiego, co znajdowało się w mieście. Mgła była tak gęsta, że autobus choć jechał po płaskim terenie, zachowywał się tak, jakby cały czas podjeżdżał pod wysoką górę. Silnik wył coraz głośniej i czuło się, jak przebija się przez gęstniejący dym zmieszany z mgłą. Pomyślałem sobie, że znalazłem się w mieście, którego z uwagi na zamglenie nie widać z lotu ptaka, a może nawet miasto takie nie figurowało na żadnej mapie, a może co gorsza nie istniało naprawdę, a to, co teraz widziałem było tylko wytworem mojego zmęczonego umysłu. Nie zdążyłem jednak dokończyć myśli, kiedy dogasający papieros przypalił mi palce dobitnie informując o realności zaistniałej sytuacji.

Wreszcie zauważyłem pierwszych przechodniów, którzy snuli się po chodnikach. Na ich piersiach majaczyły się małe ogniki w lampkach zawieszonych na szyjach, a w ustach żarzyły papierosy. Mój kolejny papieros dogasał i kierowca srogim spojrzeniem wskazał leżącą obok mnie paczkę, przypaliłem więc jednego od drugiego i wlepiłem na powrót wzrok w mijane twarze. Autobus jechał coraz wolniej, dym gęstniał, lampek przybywało. Postanowiłem, że stanę się biernym obserwatorem tego surrealistycznego miasta i nie zastanawiając się nad sensem tego, co tutaj doświadczam, dam się ponieść fali otaczającego mnie absurdu niczym bohater książki „Wystarczy być” Jerzego Kosińskiego, który będąc nie do końca rozwiniętym umysłowo musiał poczuć się podobnie

w otaczającym go świecie „normalnych” ludzi. A może, skoro większość ludzi zachowywała się właśnie w ten ogólnie przyjęty za normę sposób, to ja jestem w tej sytuacji nienormalny i postępując według mnie prawidłowo, posadzony zostanę o wariactwo? Tak, lepiej będzie wmieszać się w tłum i zacząć zachowywać jak większość, nie zadając zbędnych pytań i naśladować tubylców. Poczulem się trochę tak, jakbym był Kolumbem, wchodzącym po raz pierwszy do wioski Indian.

Kierowca gadał coś o historii Karlson-city, silnik autobusu wszedł na maksymalne obroty, a mimo to jechaliśmy około trzydziestu kilometrów na godzinę przedzierając się poprzez tak gęsty dym, że można by nie tylko siekierę, ale i dorosłego słonia zawiesić w powietrzu. Autobus dojechał do dużego placu pokrytego na całej powierzchni małymi lampkami, na środku którego na wysokim postumencie stała odlana z brązu gęś z rozpostartymi skrzydłami. Skrzydła płonęły niebieskim ogniem zmieniającym się w kłęby gęstego, siwego dymu. Kierowca nie hamował, po prostu zdjął nogę z gazu i wrzucił na luz, a autobus stanął uderzając miękko w ścianę dymu. Szofer wstał z za kierownicy i wydarł się na całe gardło:

– Centrum, maksymalne zagęszczenie! – i wciągając w płuca z pół papierosa na raz wypuścił ze świstem cały dym dwójgiem uszniczym parowóz stojący na stacji. Zawołał, przeciągając sylaby:

– Proszę wysiadać!

Otworzył drzwi, gęsty dym wdzierał się do środka, wypełniając dokładnie wnętrze autobusu. Wziąłem plecak i zarzuciwszy go na plecy wyszedłem na zewnątrz. Kiedy stanąłem na ziemi przestał mi już ciążyć, naraz zrobił się lekki jak piórko, a ja poczułem się tak, jakbym stał w bardzo rzadkiej wodzie. Oprócz mnie, z autobusu wyszedł jeden z pasażerów. Drzwi zamknęły się i kierowca ruszył w dalszą drogę. Chciałem zapytać o coś tego, który wyszedł za mną, ale zniknął gdzieś we mgle. Stałem krótką chwilę próbując wypatrzeć własne buty, ale mój wzrok nie mógł przebić się przez gęsty dym. Wyciągnąłem rękę z zapalonym papierosem przed siebie, ale oprócz żaru od łokcia nie było widać dosłownie

nic. Poprzez dym można było dostrzec tylko to, co było oświetlone choćby słabym ognikiem. I tak oto przed moimi oczami niewyraźnie majaczył się centralny plac okolony jezdnią i chodnikiem, płonący posąg na środku i kontury dachów balkonów, kominów, latarnie i wszystko to, co było oświetlone.

Ruszyłem chodnikiem wokół placu, kiedy nagle podeszła do mnie starsza kobieta z okularami przeciwsłonecznymi na czole i bukietem sztucznych tulipanów w ręku.

– Witamy w Karlson-city – powiedziała kłaniając się i wręczając mi kwiaty. – Waćpan zapewne pierwszy raz w naszej zadymionej mieścinie?

– Tak – odparłem. – Pierwszy raz.

– A więc obowiązkowo muszę przedstawić panicza naszej pani burmistrz, to u nas tradycja.

Ruszyłem za przewodniczką, a raczej za fluorescencyjnym napisem „ZA MNA” na jej plecach, który światło swoje czerpał z przydrożnych latarni. Mijaliśmy kamienice, na których widniały oświetlone napisy: BAR U ZDECHŁAKA, OBERŻA POD ŚCIĘTYM JAWOREM, CAFE MONOTONIA, REBUSY I SZARADY. Zobaczyłem też napis RATUSZ na jednym z budynków, pomyślałem, że tam właśnie podążamy, ale moja przewodniczka przeszła obok niego obojętna. I wtedy właśnie wytoczył się z budynku pijaniutki mężczyzna z dwoma papierosami w wykrzywionej gębie. Skręciliśmy i weszliśmy do kamienicy, nad drzwiami której świecił się szyld: GARMAŻERIA MROŻONA. W środku była wielka sala, na jej końcu tliły się małe ogniki. Pokonaliśmy gęsty dym i w miarę zbliżania się do płomyków moim oczom ukazywał się dość niecodzienny widok. Otóż na wielkim łożu leżała ogromnie gruba, naga kobieta. Była tak otyła, że widać było tylko jedną, wielką masę tłuszczu. Na samej górze tej galaretowatej tłuszczu można było rozróżnić okrągłą, łysą głowę, a tuż obok dwie dłonie. W jednej z nich kobieta trzymała małą lornetkę, przez którą teraz patrzyła prosto na mnie, a w drugiej swoistą cygarniczkę, z palącymi się naraz dwoma rzędami papierosów. Kobieta co i raz pociągała z ustnika, a czubki papierosów jarzyły się ochoczo.

Moja przewodniczka podeszła do łóżka i napełniając pustą, identyczną cygarniczkę papierosami, zaśpiewała:

– Oto jest pani burmistrz, najokazalsza ze wszystkich obywateli Karlson-city.

To, że jest najokazalsza, nie ulegało żadnej wątpliwości. Osoby tak grubej nie widziałem nawet w telewizji w programie mówiącym o takich ludziach na kanale Discovery. Patrzyłem na nią ze zmieszaniem, myśląc tylko o tym, jak można doprowadzić się do takiego stanu. Pani burmistrz odłożyła teatralną lornetkę i rzekła piskliwym głosem, który poczułem jak ukłucie, gdzieś głęboko w mózgu:

– To proste, nasz miły gościu, otóż miałam tak wielkie szczęście, że urodziłam się bez dupy! – I dodała śpiewając. – Bez dupy, tra la la, bez dupy, tra la la.

– Tak, to rzeczywiście, wielkie szczęście – odrzekłem, myśląc coś zgoła odmiennego.

– Mówisz, nasz miły gościu, jedno, a myślisz drugie. Oj, nie jesteś ty z nami szczery, nie jesteś. Pobędziesz u nas troszkę, zmienisz zdanie. – I dośpiewała – Oj, zmienisz ty zdanie, zmienisz, gołąbeczku miły, tra la la.

– Przepraszam Panią, ale nie przywykłem do tego, że ktoś czyta w moich myślach.

– Jak zostaniesz u nas, przywykniesz. A teraz zostaw nas, gościu miły, mamy dużo pracy. Oj dużo, dużo, tra la la.

Skłoniłem się nisko grubej kobiecie i odszedłem, starając się nie myśleć zbyt głośno, jak można żyć bez dupy. Przypomniałem sobie też pewne zdanie, które wypowiedział Andrzej Kondratiuk w swoim filmie: „Jeśli na świecie gówno stanie się wartością, biedacy rodzic będą się bez dupy”. Ledwo zdążyłem wypowiedzieć to zdanie w myślach, a poczułem na plecach jej przenikliwy wzrok i to, że wie, o czym pomyślałem, najprawdopodobniej zanim myśl ta zakołatała pod moją czaszką.

Wyszedłem z budynku i już miałem zastanowić się, dokąd się udać, kiedy z mgły wyłonił się stary człowiek, prowadzący na sznurku młodą blond-piękność. Podeszedł do mnie tak blisko, że jego nos niemal dotykał mojej brody. Uniósł pomału głowę do

góry i wyszczerzywszy żółte od nikotyny zęby powiedział wskazując palcem na niewiarygodnie piękną dziewczynę:

– Patrz pan, jaką mi dali wywłokę. Mi, tak zasłużonemu w bojach. Tylem zem się nawojowałem i tak mi zapłacili, hańba, Panie, hańba. Chude to i kościaste, nie to, co nasza Pani burmistrz, co?

– Oj, tak... – odparłem nie spuszczać oczu z dziewczyny.

I kiedy chciałem zaproponować, że chętnie wybawię dziadka z kłopotu, ten zawiął się nagle odchodząc we mgłę, a wraz z nim dziewczyna na sznurku. Istny dom wariatów – pomyślałem i ruszyłem w stronę okazałych rozmiarów gmachu z napisem RATUSZ. Wnioskując po tym, że wytoczył się stamtąd pijany mężczyzna, sądziłem, że zastanę tam jakąś knajpę. Niestety w środku był pusty, wielki pokój, na środku którego tkwił samotnie słupek z napisem: „Trzeźwym wstęp absolutnie zabroniony”. Następny był budynek: REBUSY I SZARADY. Otworzyłem drzwi, zrobiłem może ze dwa kroki i tak szybko jak wszedłem, wyszedłem z niego. Smród, jaki panował w środku, aż uszczypnął mnie w nos. Kątem oka zobaczyłem tylko grupkę kobiet siedzących przy okrągłym stole, na którym tańcowali dwaj nadzy mężczyźni. Nad ich głowami dyndał ogromny żyrandol rozświetlający widowisko. Z ciekawości chciałem zajrzeć tam raz jeszcze, ale na samo wspomnienie omdlewającego smrodu zrezygnowałem ze swojego zamiaru i ruszyłem dalej w nadziei, że wreszcie trafię gdzieś, gdzie będę mógł usiąść i coś zjeść. Moje kieszki grały bowiem marsza, od którego bolały mnie już nogi. Stałem naprzeciw trzem budynkom: BAR U ZDECHLAKA, OBERŻA POD ŚCIĘTYM JAWOREM, CAFE MONOTONIA. Z nazw mogłoby wynikać, że dostałbym w nich coś do zjedzenia, ale bardzo mocno w to wątpiłem. Nagle ktoś klepnął mnie w plecy i krzyknął mi do ucha:

– Hej, witaj, stary brachu, druhu z lat młodzieńczych!

Odwróciłem się, ale za mną już nikogo nie było. Wytrzymałem oczy, żeby zobaczyć coś we mgle za sobą, kiedy tym razem przede mną ten sam głos wrzasnął:

– Tutaj jestem, druhu, choć za mną, to się napijemy.

Spojrzałem przed siebie, ale i tu nikogo nie było. Rozejrzałem się i zobaczyłem jak z lewej strony miga lampa trzymana w zylastej dłoni, a potem zza lampy ukazuje się twarz z mocno podkrążonymi oczami.

– No chodźże wreszcie, bo nam bar zamkną! – krzyknął ów jegomość przez zaciśnięte zęby, w których trzymał dwa papierosy naraz, po czym zaczął znikać we mgle.

Szybko podążyłem za nim, a raczej za światłem jego lampy. Miałem nadzieję, że nieznamy, nazywający mnie swoim druhem z młodzieńczych lat, zaprowadzi mnie do prawdziwego baru, w którym będę mógł zaspokoić wreszcie głód, doskwierający coraz bardziej. W końcu doszliśmy do okazałej kamienicy, w każdym oknie której paliły się zielone ogniki, a nad drzwiami widniał zielony napis: SZNURY I DZIURY. Gdy tylko wszedłem za moim przewodnikiem do środka, do moich nozdrzy doszedł przyjemny zapach smażonych kotletów.

W środku okazało się, że zadymienie jest znacznie mniejsze niż na zewnątrz i plecak, o którym zupełnie zapomniałem, zaczął znowu ciążyć. Nareszcie mogłem sięgnąć wzrokiem dalej niż pół metra. Rozejrzałem się i to, co zobaczyłem zaczęło napawać mnie radością. Był to całkiem normalny bar. Kilka stolików pod ścianami, prawie przy każdym ktoś siedział. Na środku wolna przestrzeń, a pod przeciwległą ścianą, pomiędzy dwoma potężnymi filarami – bar, a za nim ten sam jegomość, za którym przyszedłem tutaj. Niewiele myśląc podszedłem do obiecująco pachnącego baru i zdjawszy plecak usiadłem na wysokim krześle.

– Oj, nie tak prędko, druhu kochany – odezwał się mój znajomy. – Teraz ty musisz stanąć za kontuarem, taki mamy tutaj zwyczaj, że kto przychodzi, ten najpierw za bar zachodzi.

Mówiąc to wyszedł zza lady i zapraszającym gestem wskazał mi drogę podając barmański fartuch. Już wiedziałem, dlaczego ów jegomość przyprowadził mnie tutaj. Znalazł jelenia do opóźniającego przyjemność obowiązku i sam już mógł siedzieć na wysokim krześle w miejscu, które przed chwilą sam zajmowałem. Ja zaś tkwiłem za barem, przepasany fartuchem, gotowy obsługiwać gości dopóty,

dopóki następny amator smażonych kotletów nie przestąpi progu kamienicy z nic nie mówiącym napisem SZNURY i DZIURY. Zapachniało mi znowu kotletami i zjełczałym olejem, co wzmogło mój głód. Aromat dochodził z zaplecza, do którego prowadziły drzwi przewieszone stylową, bordową zasłoną. Już miałem się tam udać, kiedy cwany koleś chrząknął za moimi plecami.

– No, to czym mogę służyć? – zapytałem jegomościa.

– Babskie majty raz, proszę – odezwał się po dłuższym zastanowieniu.

– Babskie majty – powtórzyłem rozglądając się po barze. W tym czasie mój klient zacierał ręce i zniecierpliwiony podskakiwał na krześle z podniecenia dziwnie dysząc.

Rozglądałem się wszędzie próbując dopasować coś z półek do zamówienia, ale na żadnej butelce nie widniała owa nazwa. Przechyliłem się i zacząłem przeszukiwać półki pod blatem. Zaraz obok pojemnika z lodem, z którego wystawały szyjki butelek, zauważyłem trzy pojemniki z napisami: MAJTASY, BARCCHANY, GACIE. Sięgnąłem do pojemnika z napisem MAJTASY, otworzyłem przykrycie spodziewając się lekkiego smrodku. Lecz w środku wszystkie majtki były szczelnie zapakowane w plastikowe woreczki. Wyjąłem jeden z nich i podałem klientowi, ten z zadowolaniem na twarzy porwał woreczek i pobiegł czym prędzej do wolnego stolika pod ścianą. Niewielkie zamglenie w barze pozwalało mi dojrzeć, jak jegomość rozrywa plastik i naciąga sobie babskie majtki na głowę, potem opada w fotelu wchłaniając, widocznie przyjemne dla niego, damskie zapachy z nieukrywanym podnieceniem. Dopiero teraz zobaczyłem, że przy stoliku obok dwóch gości też siedzi z barchanowymi majtkami na głowach, onanizując się energicznie pod stolikiem. Pomijając gościa, którego dopiero co obsłużyłem i dwóch onanistów, przy sąsiadującym z barem stoliku siedziały dwie kobiety w średnim wieku popijając jakieś trunki z długich kieliszków, a stolik dalej samotna, młoda dziewczyna przyglądająca się z uwagą mojej osobie. Chwilowo byłem bezrobotny, postanowiłem więc odnaleźć na zapleczu kuchnię, z której dochodził obiecujący zapach. Spojrzałem jesz-

cze w stronę drzwi wejściowych, ale nikt nie wchodził, żeby mnie wybawić z roli barmana i obsłużyć jak należy. Uchyliłem kotarę i zajrzałem do środka. Kuchnia była dość spora. Na środku stał okrągły, masywny stół, a na nim talerze z gotowymi, parującymi daniami. Kotlety z ziemniakami, golonki z pajdami chleba, pieczone kiełbasy, szaszłyki, wazy z białym barszczem. Mój wzrok utkwiał w tych pysznościach na tyle, że dopiero, gdy podnosiłem ze stołu talerz z tłuszczutką goloneczką zobaczyłem krzątającego się przy kafłowym piecu niskiego chińczyka o przeraźliwie skośnych oczach, który zobaczywszy mnie, zawołał piskliwie:

– Tylko dla gości, ty jeszcze nie gość, ty musisz czekać.

O, żeby ci się oczy wytrzeszczyły, ty mały wstręciuchu – pomyślałem odkładając talerz na miejsce. Już miałem wracać zawiadziony do baru, kiedy wzrok mój przykuła ława stojąca pod ścianą, a na niej siedzące trzy osoby, które od razu zidentyfikowałem. Byli to Don Kichot, jego sługa Sancho Pansa i zapłakana Dulcynea. Od tego dość niecodziennego widoku odciągnęło mnie przywołanie z baru:

– Barman!

Wróciłem do obowiązków. Przy barze stała dziewczyna, ta sama, która przyglądała mi się uważnie ze swojego stolika.

– Czym mogę służyć? – zapytałem patrząc namiennie w jej oczy.

Przyglądała mi się uważnie przez chwilę, raz to potakując głową z aprobatą, a raz kiwając, jakby zaprzeczała jakimś wewnętrznym rozważaniom. Wreszcie powiedziała pomału, ale dobitnie, sącząc słowa, w sposób, jakby piła stuletnią brandy:

– Zdecydowałam się na Don Kichota z Manchy.

Tak właśnie myślałem, że dokonuje jakiegoś wyboru pomiędzy mną, a kimś innym, tym kimś okazał się Don Kichot. Lekko urażony tym wyborem odrzekłem:

– Wedle życzenia.

Odchyliłem kotarę i zawołałem:

– Jest Pan proszony, Don Kichocie z Mancy.

Błądny rycerz wstał i poprawiając emaliowany garnek na głowie ruszył w moją stronę. Był tak wysoki, że przechodząc przez

drzwi musiał się skłonić w pas, żeby nie strącić garnka. Wyszedł z baru, a każdemu jego krokowi towarzyszyła cała gama dźwięków wydobywających się z nienaoliwionej, zardzewiałej zbroi. Stał przed dziewczyną, skłonił się nisko, wziął ją ostrożnie na ręce i z największą dystynkcją poniósł w stronę stolika. Dziewczyna przytuliła głowę do jego głowy i zaczęła szeptać coś do rycerskiego ucha, ku widocznemu zadowoleniu rycerza, który zawołał w moją stronę:

– Barman, dwie tequile, przynieś no mi tu zaraz!

Odprowadziłem niecodzienną parę wzrokiem aż do stolika, a potem zacząłem szukać tequili wśród różnego rodzaju butelek. Na półkach stały wszystkie znane mi trunki, ale tequili wśród nich nie było. Poszedłem na zaplecze i zawołałem do chińczyka:

– Jest tequila? Bo nie mogę znaleźć na barze.

– Nalać temu staremu idiocie czegokolwiek, to bez znaczenia, stary dureń.

– Ach, ty wredny Chinolu! – zawołała Dulcynea podnosząc się z miejsca i podeszła do beczki stojącej obok kuchni, wyjęła z niej żywą rybę i rzuciwszy nią z całej siły w Chińczyka, wróciła na swoje miejsce obok Sancho Pansy. Uderzenie było tak mocne, że powaliło Chińczyka na ziemię. Sancho szybko wstał, zdjął dużą, żeliwną patelnię z wieszaka i walnął nią dwa razy Chińczyka w głowę, która po drugim uderzeniu pękła na pół niczym melon. Dalej sytuacja potoczyła się w oka mgnieniu. Na pierwszy rzut oka powolny, gruby Sancho raz dwa rozebrał Chińczyka, rzucił go na stół i ogromnym, rzeźnickim tasakiem poćwiartował zwłoki. Potem wszystko wpakował do dużego gara i postawiwszy go na kuchni zawołał do mnie szalenie przemiłym, niemal anielskim głosem:

– Dopisze Pan, z łaski swojej, do menu nowe danie – „Chińczyk w sosie słodko-kwaśnym”.

– Oczywiście – odparłem i nie spuszczać oczu z Sancho Pansy wróciłem do baru.

Dopisałem do menu nowe danie zastanawiając się jak Sancho przyrządziłby mnie, gdybym to ja obraził jego Pana. Do głowy przychodziły mi takie nazwy jak Befszyk z Polaka z truflami,

Polski kotlet na winie i Zrazy po polsku zawijane. Odpędziłem te kulinarne pomysły, nalałem koniaku w dwie szklanki i zaniósłem do stolika, przy którym Don Kichot odbywał stosunek płciowy ze swoją klientką. Postawiłem dwie szklanki na stole i odchodząc wsłuchiwałem się w miarowe pocieranie nagich ud dziewczyny o zbroję rycerza. Kiedy wróciłem, na małym stoliku za barem leżał talerz z tłustą golonką i grubą pajdą chleba. Obok stała szklanka z piwem, o którą oparta była biała kartka z napisem w gotyckim stylu: „Dla Barmana, za pomoc z Chińczykiem”.

Zajadałem przepyszną golonkę popijając piwem i myśląc, czy ta golonka nie jest może z Niemca z Bawarii, który nieroztropnie obraził Dulcyneę. Kształt golonki wskazywał jednak na świninę, ale zastanowiwszy się doszedłem do wniosku, że z tłustego Bawarczyka golonka smakowałaby mi równie dobrze. Z ciekawości sięgnąłem do menu i śmiejąc się pod nosem przeczytałem „Golonka po bawarsku w piwie”.

Do końca wieczoru nikt już nie przyszedł. Obsłużyłem jeszcze dwie kobiety podając im gacie dwóch onanistów z sąsiedniego stolika. Mój pierwszy klient zasnął z babskimi majtasami na głowie. Don Kichot z dziewczyną spółkowali nieprzerwanie przez cały wieczór, zmieniając tylko pozycje. Widać dziewczyna dobrze wybrała, bo moja kondycja nie pozwoliłaby mi na tak długi maraton. Wreszcie, około pierwszej w nocy wszyscy pozasypiali przy stolikach. Ja też, czując zmęczenie, nie tyle fizyczne, co psychiczne, wynikające z niecodziennych przeżyć, położyłem się na małej kozetce i zasnąłem z nadzieją, że w nocy Sancho nie przerobi mnie na jakieś polskie danie.

Rano obudziłem się w przydrożnym rowie, zziębnięty, z ogromnym bólem głowy. Wstałem i zarzuciwszy plecak na plecy podszedłem do znajomego drogowskazu. ABSURD-CITY – widniało białymi literami na zielonym tle. Sięgnąłem do kieszeni po czarny flamaster i dopisałem GÓWNO PRAWDA. Przeciągnąłem się, wyjąłem paczkę papierosów i zapaliwszy dwa naraz ruszyłem ochoczo w stronę zamglonego miasta.

GABRIEL

Historia, którą opowiem, wydarzyła się naprawdę. Została napisana w oparciu o szczerą opowieść pewnego młodego księdza. Dlaczego jestem pewny, że była szczerą? Otóż pewien ważny dla niej przedmiot, o którym później będzie mowa, a który niezbitnie świadczy o autentyczności historii, jest teraz w moim posiadaniu. Nic nie zostało przeze mnie przeinaczone, spisałem tylko to, co od niego usłyszałem. To, co widział, czuł, czego doświadczał przeżywając tamte dziwne wydarzenia. Teraz, wracając do tej historii po latach mam wrażenie, jakby siedział tuż obok mnie i ze spuszczoną lekko głową, wpatrując się w dogasające drwa w kominku, snuł swoją niebanalną opowieść.

Dla jego dobra pozwoliłem sobie jedynie zmienić nazwę wsi, w której to cała historia miała miejsce. Imię zostawiłem, gdyż brzmi ono w moich uszach nostalgiczną tęsknotą za pozostawionym krajobrazem tamtego, bliskiego także mi, miejsca. Jedyna rzecz, jaka mnie zastanawia to fakt, że wydarzenia, które moim zdaniem powinny umocnić jego wiarę, zupełnie jej go pozbawiły.

Zatoń Dolna, jak wiele wsi w Polsce, położona jest na malowniczym wzgórzu nad rzeką. Jej drewniane, niektóre kryte jeszcze strzechą, domki skupiają się wokół niewielkiego placu, na środku którego rośnie ogromny dąb. Niektóre sady wspinają się po wzgórzach, inne ześlizgują się po nich w stronę rzeki. Jedyna dochodząca do wsi brukowana droga, wijąca się między wzgórzami, kończy się pod bramą muru okalającego tutejszy kościół górujący nad gospodarstwami. Kościół jest drewniany, a tablica informacyjna głosi, że został wykonany już w siedemnastym wieku. Z drewnianych schodów prowadzących do jego drzwi widać całą zieloność krajobrazu przecinaną przez błyszczącą w słońcu wodę. Jedyny odróżniający się punkt, to goły skrawek ziemi z poro-

rzucanymi resztkami fundamentów starego zamczyska po drugiej stronie rzeki. W zamku tym, zburzonym w czterdziestym piątym roku przez rosyjskich żołnierzy, jeszcze przed wojną mieszkali prawowici właściciele okolicznych ziem. Czarna, nie zarośnięta niczym ziemia jak i osnuwające ją mroczne historie, budzą lęk w sercach zamieszkującej wieś ludności.

Kościół nigdy nie został wyposażony w elektryczność i zimowe, wieczorne msze odbywają się jedynie w świetle zapalonych na ołtarzu świec. Półmrok panujący wtedy w kościele połączony z dźwiękiem starych organów i śpiewanych pieśni powołuje do istnienia nastrój, którego nie sposób opisać.

Był niedzielny, zimowy wieczór. Uśpiona wieś powoli zaczynała ożywać. W sieniach chałup zapalały się światła. Ludzie wychodzili na zewnątrz, a czując mróz naciągali mocniej czapki, zapinali szczelniej płaszcze i kozuchy. Wszyscy udawali się na niedzielną mszę do kościoła, który górując nad nimi w świetle księżycy otulał ich wieś białym, bezgrzesznym śniegiem, przynosząc ukojenie i ciszę zakłócaną teraz jedynie skrzypieniem butów. Młody ksiądz stał przed otwartymi drzwiami świątyni witając się z przybywającymi. Wchodzili niespiesznie, opukując nogi o drewniane, skrzypiące zmrozoną starością, schody. Twarz księdza emanowała młodzieńczym zadowoleniem ze spełnianej powinności, na obliczach wiernych dało się zauważyć skupienie. Oni byli na mszy już od momentu, kiedy ich buty zetknęły się z bielą śniegu. Z otwartych drzwi dobiegały pierwsze dźwięki organów, które nie tyle zapraszały wiernych, co prowadziły ich za ręce do niezmiennych, dziedziczonych z pokolenia na pokolenie, miejsc w ławach. Kiedy ostatni parafianin przekroczył drewniany próg, ksiądz Gabriel ogarnął jeszcze raz wzrokiem zaśnieżone dachy i znikając w kościele zamknął drzwi, pozostawiając wieś w błogim oczekiwaniu na swoich mieszkańców.

W sieni kościoła stał mało rozgarnięty Kazik, który opierając się o ścianę tarosił zdjętą z głowy wełnianą czapkę. Kiedy ksiądz przechodził obok, Kazik poklepał go po ramieniu i szepnął coś w sobie tylko rozumianych słowach. Robił to zawsze, kiedy tylko

któs zbliżył się na wyciągnięcie ręki, dlatego we wsi wołano na niego Klepacz. Gabriel uśmiechnął się i z uśmiechem tym wkroczył do kościoła. Szedł pomału środkiem, między dwoma rzędami ław. Organy umilkły i zapanowało oczekiwanie na początek mszy. Wierni siedzieli w bezruchu spowici panującym półmrokiem. Pierwsze dwa rzędy ławek były zawsze puste. Tutejszy, wierny tradycji lud zostawiał te ławy dla swoich byłych panów, którzy wybudowali ten kościół, a po których została tylko goła ziemia. Gabriel obejmując parafię próbował przekonać ludzi do zerwania z tym zwyczajem, ale natrafił na niemy opór. W ogóle wszystko, co dotyczyło byłych dziedziców owiane było tajemnicą, o której nikt nic nie chciał mówić. W parafialnym archiwum nie zachowały się żadne dokumenty, nikt nigdy nie posiadał żadnego, choćby najmniejszego przedmiotu pochodzącego ze zburzonego zamku. Jedynie dwa, ubrane w białe szaty anioły ze spuszczoneymi głowami i złożonymi skrzydłami, stojące po obu stronach ołtarza pochodziły podobno z rodzinnego grobowca szlacheckiej rodziny. Młody ksiądz zobaczywszy je po raz pierwszy nie mógł wyjść z podziwu dla artysty, który je wykonał. Były tak naturalne, z taką ilością szczegółów, że aż przerażały swą doskonałością. Patrząc na ich zamknięte oczy miało się wrażenie, że zaraz otworzą je i uniosą głowy odwzajemniając spojrzenie. Były niemal jednakowe, ale różniły się delikatnie rysami twarzy, ułożeniem złotych włosów, fałdami szat. Wyglądały tak, jakby dwie pochylające się nad czymś nieszczęściem niebiańskie istoty naraz skamieniały i tak tkwiły od niepamiętnych czasów.

Gabriel szedł pomału, delektując się tą ciszą, wiedziony płomieniem świecy palonej na ołtarzu, rozświetlającej wiszący w centralnym miejscu obraz Świętego Andrzeja, patrona parafii. I kiedy oczy świętego napotkały na właśnie odwróconą do niego plecami postać księdza, organy rozbrzmiały, a wierni zaczęli śpiewać. Właśnie wtedy drzwi kościoła otworzyły się z głośnym skrzypnięciem. Po chwili do środka wszedł wysoki, ubrany w czarny, sięgający aż do podłogi kożuch, mężczyzna. Wpatrzony w oczy księdza namacał laską klamkę i zatrzasnął za sobą z hu-

kiem drzwi. Kiedy przechodził blisko Klepacza, ten nie poklepał go po plecach. Nawet nie spojrzał w jego stronę, jakby go nie zauważając. Nieznajomy przystanął na chwilę i dopiero teraz zdjął z głowy skórzany, czarny kapelusz. Trzymając w jednej ręce kapelusz i postukując trzymaną w drugiej laską powoli szedł w stronę ołtarza, nie spuszczać wzroku z oczu księdza. Gabriel patrzył na nieznajomego z nieukrywanym zainteresowaniem, nie przestając śpiewać z wiernymi pieśni rozpoczynającej mszę. Pierwszy raz widział tego człowieka, a mimo to doznawał dziwnego uczucia, że znał go od zawsze. Jakby nagle doznał olśnienia, znalazł kogoś, kogo od dłuższego czasu usilnie szukał. Lecz nie to zaniepokoiło Gabriela, a fakt, że nikt z obecnych w kościele nie spojrzał nawet przez chwilę na nieznajomego. Żadna głowa nie obróciła się w jego stronę, chociaż w tak małej społeczności natarczywe zainteresowanie było w takiej sytuacji na porządku dziennym.

Mężczyzna w czerni zatrzymał się tuż przed ołtarzem, na wysokości pierwszych ławek. Po raz pierwszy odkąd wszedł do kościoła, oderwał wzrok od oczu księdza i spojrzał w górę – najpierw w oczy świętego Andrzeja, z którym wydawać by się mogło toczy jakąś wewnętrzną walkę, a potem jeszcze wyżej, na styk ściany ze sklepieniem, gdzie z wnętrza trójkąta spoglądało boskie, wszechgarniające i wszechwidzące oko. Szybko jednak zacisnął powieki, jakby rażony piorunem i spuściwszy wzrok stał chwilę niby skarcony psiak, aż pieśń dobiegła końca i rozbrzmiał donośny głos księdza. Wtedy obrócił się na pięcie, podszedł do ławy i usiadł. Msza zaczęła się i choć wszyscy stali, nowo przybyły siedział wpatrując się przesywającym wzrokiem w księdza.

Gabriel czuł się coraz bardziej nieswojo. Raz, że był w zasadzie pewny, że nikt poza nim nie widzi nieznajomego, a dwa, że utkwiony w nim wzrok peszył go i wytrącał z równowagi, niezbędnej do celebrowania mszy. Kim był nieznajomy? To pytanie nurtowało go od początku. Starał się nie patrzeć w jego oczy, a ilekroć to zrobił, natrafiał na to samo świdrujące ciało i duszę spojrzenie powodujące, że ciarki przechodziły mu po karku.

Organy na powrót zabrzmiały i parafianie zaczęli śpiewać. Gabriel przyglądał się dziwnej postaci, nadal unikając twarzy, a przede wszystkim oczu nieznanego. Wzrok przykuwały czarne, do połysku wypastowane lakierki, które pomimo wysokiego wzrostu mężczyzny były bardzo małe, ledwie wystawały spod zaprasowanych w kant spodni. Gdy tylko Gabriel o tym pomyślał, mężczyzna założył nogę na nogę i podwinął lekko nogawkę ukazując zainteresowanemu cały bucik. Był on tak nienaturalnie mały, tak niepasujący do postaci, że nie sposób było wyobrazić sobie stopy, którą okrywał. Poza tym nieznanemu wykonał gest w taki sposób, jakby chciał spełnić myśl księdza, czytając w jego umyśle. Kiedy Gabriel patrzył na bucik, mężczyzna rozpiął poły kozucha, odsunął je na boki i rozsiadł się wygodnie w ławie. Ludzie kończyli śpiewać, ksiądz chciał oderwać wzrok od nieznanego, ale nagle zobaczył, że zza grubego kołnierza wychyla się czarny łeb kota o lśniących oczach. Kot leniwie wyszedł, zamiauczał i usiadł obok swego pana. Teraz obaj – mężczyzna i kot wpatrywali się w zdziwione oczy księdza. Pieśń ucichła, ludzie usiedli. Kot wskoczył na oparcie ławy i podszedł na sam jej skraj, by tam usiąść, cały czas mając na oku Gabriela, który nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, szukał wsparcia w wiernych siedzących najbliżej zwierzęcia. Nikt jednak nie wykazywał najmniejszego zainteresowania nim, tak jakby nikt go nie widział, albo też nie chciał widzieć.

Gabriel czuł, jak pot występuje mu na czoło, a chłód panujący w kościele mrozi je. Przyszedł czas kazania i Gabriel na trzęsących się nogach podszedł do mównicy stojącej tuż obok ołtarza. Kazanie miało być o diable, który czai się w ludzkich duszach, gotowy w każdej chwili zawładnąć i manipulować nimi, sprowadzając ludzi na złą drogę. Gabriel ułożył sobie wstęp zaczynający się od słowa „Szatan” i kiedy już chciał je wymówić, mężczyzna w czerni poderwał się gwałtownie i stojąc w rozkroku rozłożył ręce na boki. Pochylając i przekrzywiając delikatnie głowę stuknęła zakończoną metalem laską w kamienną posadzkę. Kot najeżywszy się zaczął przeraźliwie miauczeć. W tej, jakże niespodzie-

wanej chwili, Gabriel usłyszał za plecami po obydwu stronach ołtarza jakby kruszenie kamieni, a potem dwa głucho uderzenia o kamienną posadzkę. Dźwięk wibrował w ciemnym wnętrzu świątyni niczym w pudle rezonansowym. Ksiądz stał oniemiały, jego niewidzące oczy biegały od jednego do drugiego parafianina.

W kościele zaległa cisza, słowa Gabriela utkwiły w krtani. Ludzie w skupieniu czekali na kazanie, a on stał z otwartymi ustami niczym martwy ptak leżący bez ruchu na nagiej ziemi. Patrzył przed siebie, gdzieś w punkt nad drewnianymi rzeźbionymi drzwiami, a pod balustradą, za którą stały organy. Jednak cały czas kątem oka widział śmiejące się teraz oczy nieznanego i jednocześnie wyobrażał sobie to, co stało się właśnie za nim. Był pewien tego, co tam zobaczy. Przerazało go, że wie, co tam ujrzy nie tylko po dźwiękach dochodzących do jego uszu, ale również stąd, że czytał z oczu mężczyzny i z zachowania kota. Jego kark stał się sztywny wiedząc, że oto za jego plecami dwa anioły oddały głęboki pokłon swojemu panu, ich kamienne kolana uderzyły o posadzkę przed mężczyzną w czarnym kozuchu, który z triumfem patrzył w twarz Gabriela.

Ksiądz stał nieruchomy, ze wzrokiem skierowanym prosto w łagodne już oczy mężczyzny, które zdawały się mówić: „Spokojnie Gabrielu, tylko spokojnie, wytrzymasz – to nie są halucynacje”. Tego, że wszystko dzieje się naprawdę był pewny i fakt ten paraliżował go. Niewypowiedziany strach ogarnął całe jego ciało i zawładnął umysłem, nie pozwalając na najmniejsze drgnięcie choćby jednego mięśnia. I nagle przyszło uczucie silniejsze. Otóż zdał sobie sprawę, że oto stoi przed nim wysłannik piekieł, Szatan we własnej osobie, że dwa anioły oddały mu cześć, a wszystko to dzieje się w świątyni, w miejscu świętym, gdzie każda deska została skropiona wodą święconą, nad którą niejeden kapłan modlił się gorliwie. Gdzie kamienna posadzka winna pękać pod diabelskimi kopytami nie pozwalając na bezkarność złego.

Ludzie zaczęli spoglądać po sobie, a organista widząc, że z ich księdzem dzieje się coś dziwnego, zaczął uderzać w klawisze organów rozpoczynając nową pieśń. To na chwilę otrzeźwiło Ga-

briela. Zamknął usta i w duchu zaczął śpiewać wraz z organistą. I kiedy już miał zacząć śpiewać pieśń na głos, mężczyzna puknął laską o kamienną posadzkę. Na ten sygnał kot zeskoczył z ławy i patrząc hipnotyzującym wzrokiem prosto w oczy księdza pomalutku ruszył w jego stronę. Podeszedł pod mównicę i błyskawicznie wskoczył na nią, nie odrywając wzroku od księdza. Stał na tylnych łapach, wyciągnął przednie na wysokość oczu Gabriela i miękkimi poduszkami zamknął wpatrzone w niego, niedowierzające oczy księdza.

Gabriel stał przy mównicy, spod jego zamkniętych powiek zaczęły cieknąć łzy. Usłyszał kroki zbliżającego się do niego mężczyzny. Poczul lodowaty oddech na karku, następnie zimne dłonie dotknęły jego barków. Wyczuł, jak ciemny dym owija się wokół nich i nagle kolana ugięły mu się, uderzając o podłogę, a głowa pochyliła się w pokorze. Czul, że jeśli czegoś nie zrobi, to stanie się rzecz straszna. Rzecz, której nie był w stanie sobie nawet wyobrazić. Lęk przed czymś, w co wpędza go nieznamy, wybuchł paroksyzmem dreszczy opanowujących ciało. Resztką woli i pozostałej gdzieś w głębi duszy nadziei drżącą ręką sięgnął na szyję i pociągając za łańcuszek sięgnął do zawieszzonego na nim krzyżyka. Wtedy potężna, niepojęta moc spłynęła na niego napęniając jego duszę spokojem. Poczul, jak wszystkie modły wznoszone w tym miejscu przez kapłanów od setek lat, skomasowały się w jedną i pod postacią jasnego snopa światła spływającego z góry, wbiły się w czarną, otaczającą go mgłę oddzielając od stojącego za nim mężczyzny, podpierając wiarę młodego księdza niczym filar utrzymujący sklepienie znajdujące się nad nim. Już wiedział, co ma zrobić, wystarczy prosta, a jednak najpotężniejsza modlitwa jaką znał. Pomalutku otworzył usta i pomimo huku połączonego z bólem wciskającym się ze straszliwą siłą gdzieś pod czaszkę, zaczął szeptać pierwsze słowa modlitwy pańskiej – „Ojcze nasz...”. Skupiony na nich usłyszał, jak z nieużywanych od wieków krtani aniołów wydobywa się potworny pisk, jak kamienne skrzydła prostują się nad nim i przecinając powietrze z łoskotem zaczynają miarowo uderzać unosząc dwie kamienne postacie pod sklepienie

sufitu. Kiedy był w połowie modlitwy, ręce trzymające jego barki odstały z impetem, a kiedy kończył, usłyszał jak kamienne postacie uderzają na powrót o posadzkę. Wypowiedział „Amen” i moc odstała równie nagle, jak się pojawiła. Wymacał drżącą dłonią krawędź ołtarza i podpierając się na nim wstał, prostując nogi w obolałych kolanach.

Organy milczały. Wszyscy wierni w milczeniu wpatrywali się w swojego księdza stojącego z zamkniętymi oczami za pokrytym białym obrusem ołtarzem. Gabriel powoli otworzył załzawione oczy, przetarł drżącą dłonią złane potem czoło i z przestachem spojrzął za siebie. Nikogo tam nie było, a dwa anioły stały jak gdyby nigdy nic. Spojrzął na pierwszą ławę – była pusta. Cofnął się o krok i wtedy jego but natrafił na leżący przedmiot. Spojrzął w dół i zobaczył leżącą pod nogami drewnianą laskę zakończoną mosiężną głową kozła o złotych rogach. Pochylił się i kiedy już ją podnosił, usłyszał trzask zamykanych drzwi.